

i rodzeństwem z Kalusza koło Stanisławowa. Ojciec – legionista – po zawarciu małżeństwa poświęcił się budowie domu rodzinnego – obydwójce z mamą pracowali i wychowywali dzieci, pracowali również społecznie – należeli do organizacji Strzelca i Sokola. Mama działała w Kole Gospodyń Wiejskich jako nauczycielka, szerząc tam oświatę. Ojciec udzielał nauki gry na skrzypcach – grywał pięknie melodie Moniuszki, Wieniawskiego, Lehara. Mama pięknie śpiewała, a w okresie Bożego Narodzenia urządzała jasełka i wówczas cała rodzina przeobrażała się w aktorów. Muzyka i śpiew towarzyszyły zawsze rodzinie – w domu panowała wspaniała atmosfera, a okolica, w której dom był położony, była piękna, bo były góry, z których w zimie zjeżdżało się na sankach, a w lecie można było pływać w rzece i buszować w lesie. I tak szczęśliwie upływało dzieciństwo. Wśród okolicznej ludności składającej się z Polaków, Żydów i Rusinów panowała atmosfera wzajemnej życzliwości i tak było do roku 1939. W sierpniu Ojciec dostał powołanie do wojska, a we wrześniu już walczył w obronie Lwowa. 17 IX weszli do Kalusza Rosjanie. Ojciec został internowany w Stryju, skąd udało mu się zbiec i dostać do domu. Życie rodzinne toczyło się dalej, lecz z zewnątrz czuło się zagrożenie i tak nadszedł dzień 10 II 1940 roku, który Roma jako jedenastoletnia wówczas dziewczynka doskonale pamięta, kiedy to nad ranem wyrwał ich ze snu łomot do drzwi – to enkawudzista i dwaj ukraińscy milicjanci uderzali kolbami karabinów krzycząc – otwierać! Po ordynarnej rewizji, chociaż nie znaleźli broni lub czegokolwiek zakazanego, oskarżyli Ojca o wrogość do Związku Sowieckiego. Kazali się zbierać i w ciągu pół godziny opuścić dom. W chaosie i płaczu pakowali rzeczy, mały Kazio płakał i nie chciał opuścić swojego łóżeczka. W skromnym dobytku, który mogli zabrać, znalazły się skrzypce Ojca, z którymi nigdy się nie rozstawał. Kiedy zapakowano ich do sań, w ostatniej chwili przybiegła mieszkająca w pobliżu Babcia, aby dać Mamie obrazek Matki Boskiej na drogę, za co została uderzona przez enkawudzistę – upadła w śnieg i tak ją Roma widziała po raz ostatni – leżącą w śniegu z wyciągniętymi do nich rękami... Na stacji zapakowano ich do bydłowych wagonów wraz z wieloma rodzinami, które podzieliły ich straszny los. Był już marzec, kiedy wysiedli w tajdze za Kołem Polarnym na północ od Archangielska. Roma pamięta, że Mama wysiadła z pociągu zupełnie osiwiała. W tajgę przewieziono ich na płozach i umieszczono w obozie poprzednio zamieszkałym przez więźniów. Na polanie stały opuszczone baraki bez szyb, zawiane śniegiem i 4 wieże strażnicze. W tych warunkach umieszczono 400 rodzin polskich i polsko-ukraińskich poczuwających się do polskości, za co zostali zesłani. To tylko jeden taki obóz, a było ich setki. Zaczęła się katorżnicza praca – mężczyźni ścinali drzewo, kobiety korowały, czyli ściągaly korę, a dzieci ją zbierały, aby zarobić na dzienną rację żywności. Głód i zimno dokuczały bez przerwy, wprawdzie regulamin obozowy zabraniał pracy w temperaturze -35°C , ale wtedy termometr zazwyczaj zniknął. Władze obozowe zdawały się jeszcze bardziej pogłębiać beznadziejność sytuacji powtarzając: stąd się nigdy nie wydostaniecie – tu pomrzecie. Polacy jednak nie upadali na duchu. Modlitwa i śpiew pomagały im w przetrwaniu, a kiedy zmieniono komendanta na bardziej ludzkie-

go, utworzyli wielogłosowy chór, który śpiewał piosenki, wprawdzie rosyjskie i ukraińskie, bo polskie były zakazane, ale tak bardzo przydały się tutaj skrzypce Ojca, które razem z harmonią stanowiły oryginalną orkiestrę. Za pozwoleniem władz obozowych koncertowali po okolicznych kolchozach wnosząc w beznadziejne życie kolchoźników trochę radości i dostając w nagrodę coś do jedzenia. W Święta Bożego Narodzenia Polacy zbrali się w jednym baraku – obchodzili polską wigilię, jakżeż skromną, ale ze śpiewem polskich kolęd. Niestety, władze obozowe dowiedziały się o tym i groziły łagrem karnym p. Walerii Sikorzynie jako organizatorce wigilii. Polacy jednak umieli zachować się solidarnie i obronić p. Sikorzynę – była to osoba niezwykła – sąsiadka z Kalusza – zawsze ratowała ludzi w chorobach i biedzie. O niezwykłej działalności p. Walerii Sikorzyny napisał i wydał w Londynie książkę dr historii Waclaw Korabiewicz pt. „Serce w dłoniach”. Kiedy dowiedzieli się na posiołku o tworzącej się Armii Polskiej, p. Sikorzyna umiała też „załatwić” wagon dla Polaków, którym podążali na południe Rosji do utworzonej Polskiej Armii w Buzuluku po „amnestii” Sikorski-Majski. Znowu stłoczeni do niewyobrażalnych granic wędrowali z nadzieją do wolności. Zatrzymano ich w Uzbekistanie, gdzie dostali przydział do pracy w kolchozie położonym w górach. Za mieszkanie służyła im lepianka, z której wyprowadzono barany, spali na kukurydzianych badyłach, a za pożywienie służyło im nieoczyszczone proso, od którego krwawiły jelita. Starsi kopali rowy nawadniające, a dzieci pracowały przy zbiorze bawelny, która wyschnięta raniła ciągle niegojące się ręce. Po pół roku pobytu w Uzbekistanie Ojciec dostał się do Armii Andersa, a brat Jurek do junaków – wprawdzie w przydzielonym o wiele na niego za dużym mundurze wyglądał bardzo śmiesznie, ale jakże był szczęśliwy! Tymczasem Ojciec zachorował na tyfus i na dezynтеріę – już właściwie uznano go za zmarłego, kiedy sanitariuszka rozpoznała w nim Janka, który tak pięknie grał na skrzypcach, dostrzegła u niego nikielne oznaki życia, zabrała go do namiotu i uratowała od śmierci. Rodzina wędruje z kolchozu do Buzuluku oddalonego o 70 km poprzez wysokie góry wynajętą arbę. Przy wojsku polskim koczowało dużo dzieci z sierocińców w Rosji. Za rozkazem generała Andersa, aby ocalić dzieci polskie za wszelką cenę, żołnierze polscy bardzo troskliwie się nimi opiekowali. Czekał na transport do Iranu Roma z Mamą i braciszkiem Kaziem koczowali dwa tygodnie na dworcu i to były najgorsze dni w całym pobycie w Kraju Rad. Pokryci brudem i insektami – wszy były nawet w brwiach – czuli się tak upodleni, że trudno wyobrazić to sobie człowiekowi żyjącemu w normalnych warunkach. Kiedy dojechali do Krasnowodska nakarmiono ich ryżem i jakąś rybą, wsadzono na stare zniszczone okręty i w niewyobrażalnych warunkach, bez jedzenia i picia, dopłynęli przez Morze Kaspijskie do Pahlevi w Iranie (wówczas Persja). Był Wielki Tydzień 1942 r., kiedy przekroczyli drogę do Wolności. Kiedy w pośpiechu wychodzili na brzeg, nie byli jeszcze pewni, że są wolni. Władze alianckie ze zdumieniem patrzyły na tłumy ludzi, w łachmanach rojących się od robactwa, przeraźliwie wychudzonych lub spuchniętych od głodu. Z ulgą przechodzili przez kordon sanitarny zostawiając swą nędzę, ubrani w czystą bieliznę i mundury udawali